

# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

## Od Redakcyi.

Redakcyja Wieczorów Rodzinnych zawiadamia czytelników swoich, że pośredniczyć będzie w przyjmowaniu składek na mający stanąć w Warszawie pomnik Adama Mickiewicza, największego poety naszego. Składki po ogłoszeniu w Wieczorach odsyłane będą do kasy Komitetu pomnika Mickiewicza, mieszczącej się w pałacu Kronenberga w Warszawie.

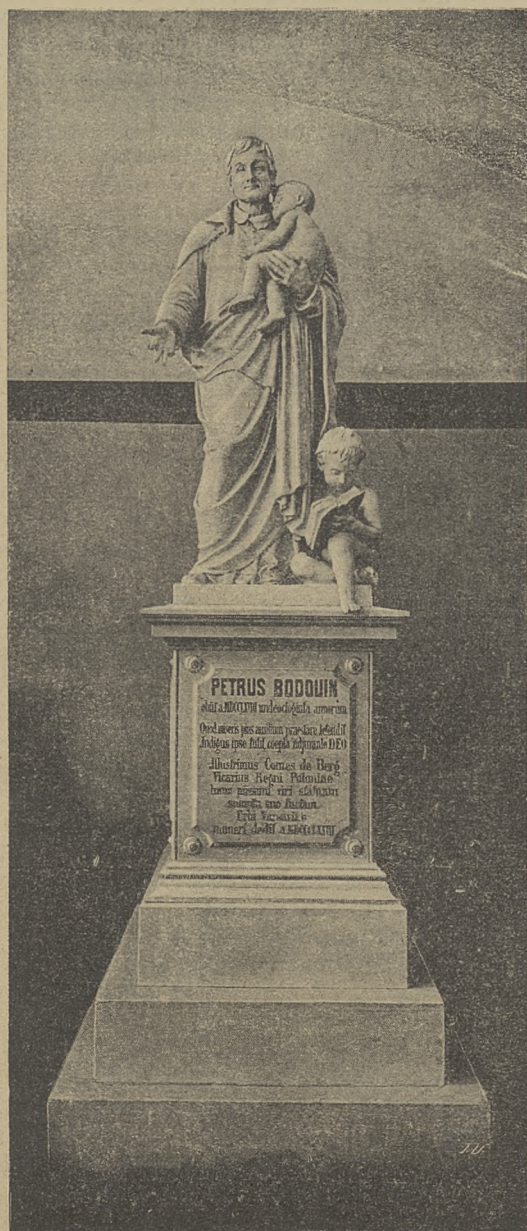
## Szpital Dzieciątka Jezus.

Cudzoziemiec szlachetnego, prawdziwie chrześcijańskiego serca, ks. Piotr Baudouin, stał się twórcą i założycielem instytucyi, którą nikt bez uczucia rozrzewnienia nie wspomina, a która istniejąc w Warszawie pod wezwaniem „szpitala Dzieciątka Jezus”, już przez całe półtora wieku corocznie setkom opuszczonych sierot dawała potrzebną opiekę i wychowanie chrześcijańskie.

Jeżeli jednak szpital Dzieciątka Jezus powszechnie w kraju jest znany, nie wszyscy znają szczegóły życia świętobliwego jego założyciela.

Ksiądz Piotr Baudouin, urodził się w 1689 r. we Francyi w Arverne, i był synem zamożnych obywateli. Obok żywości temperamentu, zdradzał już w dziecinnych swych latach wielki zapal do wszystkiego, co szlachetne i wzniosłe. Młodzieniaszkiem jeszcze począł szukać odpowiedniego dla siebie zawodu. Zdawało mu się początkowo, że go znajdzie w służbie wojskowej.

Po krótkiej wszakże próbie w czasie pobytu w przybocznej straży królewskiej w Paryżu, mając lat zaledwie 21, zmienił zdanie, i umyślił się poświęcić stanowi duchownemu, wstąpił więc do zakonu księży Misyonarzy i po otrzymaniu święceń kapłańskich, w 1717 roku przybył do Warszawy, gdzie niedawno zakon ten był wprowadzony. Nauczwszy się przedewszystkiem języka polskiego, niebawem rozpoczął swe misyjne prace.



Pomnik ks. Piotra Baudouina.



Wyszukując tych, którzy potrzebowali bądź to pomocy materialnej, bądź moralnej, ks. Baudouin, szedł za przykładem mistrza swego, św. Wincentego à Paulo, bo zakon misyonarski, którego św. Wincenty był założycielem, a ks. Baudouin jednym z najczcigodniejszych jego uczni, na pierwszym miejscu cnotę miłosierdzia stawiał.

Osierocone i opuszczone dzieci stały się więc przedewszystkiem przedmiotem najtkliwszych jego starań. Zbierane po ulicach, zaułkach i przedmieściach niemowlęta umieszczał z początku gdzie się dało, a na koszt ich utrzymania, nie wahał się chodząc po możniejszych domach, wyciągając rękę ze skarboną i prośbą o datki.

Nie zawsze oczywiście trafił w porę, i na ludzi z sercem często w miejsce upragnionego grosza, obdarzano go niezbyt grzeczną odmową, lub wręcz brutalnem obejściem. Opowiadano, że raz jednego w miejsce jałmużny, o którą prosił otrzymał policzek i że wtedy wyrzekł: „To dla mnie, a cóż dla biednych dzieci?”

Wobec jednak wzrastającej ciągle liczby potrzebujących pomocy i opieki, których nie mógł już pomieścić we własnym, z datków zakupionym domu, przy ulicy Oboźnej, począł więc myśleć o zbudowaniu gmachu, gdzieby nietylko sieroty, ale i chorzy przytułek znaleźli.

Pokładając ufność w miłosierdziu ludzkim, a nade wszystko we wszechmocnej pomocy Bożej, począł chodzić znów ze skarboną, urządzał za pozwoleniem króla różne loterie; słowem, nie zaniedbał żadnych możliwych środków, żadnej zdarzającej się sposobności do zebrania choć w części potrzebnego funduszu. A taka jest potęga poświęcenia w imię miłości bliźniego, tak silnie działa dobry przykład, że zacny kapłan mógł już 1754 r. położyć kamień węgielny pod budowę dziś jeszcze istniejącego szpitala generalnego, któremu piękną nazwę „Dzieciątka Jezus” nadał.

Z biegiem czasu, w miarę wzrastania kapitałów z drobnych ofiar, oraz znacznych zapisów możnych panów polskich, dodawano nowe oddziały i nowe dla nich stawiano budynki, przez co posesya szpitalna zajęła wreszcie obszar tak znaczny jaki dzisiaj podziwiamy. Wśród tych zabudowań na obszernym dziedzińcu, projektowano wzniesć ks. Baudouin pomnik z odpowiednim napisem przedstawiony na rycinie naszej, projekt ten wszakże nie przyszedł do skutku.

Widzieć ukończone pożyteczne dzieło, pracy i zabiegów życia całego, jest bodaj największą nagrodą jaka może być udziałem szlachetnych ludzi tu na ziemi. Tę radość, tę pociechę dał Bóg zacnemu kapłanowi, który dożył lat późnej starości i ostatnie dni swoje, spędził w szpitalu, oddany już wyłącznie pobożnym ćwiczeniom.

Śmierć jego nastąpiła 10-go lutego 1768 r. Bez choroby i cierpień żadnych, zasnął cichym snem wiecznym, opromieniony blaskiem zasługi i ludzkiej wdzięczności, bo jak powiada biskup Krasicki w pięknym wierszu, poświęconym jego pamięci:

„Nie ten godzien wspomnienia, kto gnębił, kto zdzierał,  
Nie ten kto lzy wyciskał, lecz kto je ocierał.”

W miarę rozrostu miasta, szpital Dzieciątka Jezus znalazł się w jego środku, z powodu warunków zdrowotności mieszkańców, postanowiono obecnie przenieść go do posesyi

pozaniejskiej, zwanej „Folwarkiem świętokrzyskim.” Nie prędko to jeszcze nastąpi, lecz dziś już zaczęto rozbierać niektóre należące do szpitala budynki.

## WOJNY KRZYŻOWE.

(Dalszy ciąg).

### KRUCYATA DZIECI (1213 r.)

Wkrótce po utworzeniu cesarstwa łacińskiego na półwyspie Bałkańskim przez dowódców czwartej wojny krzyżowej zaszedł w Europie zachodniej wypadek, niezupełnie wyjaśniony przez badania historyczne, który chociaż nie miał większego znaczenia dziejowego, jednak, jako sam przez się wzruszający, znamienity i pouczający, nie może być pominięty milczeniem nawet w tak krótkim i zwięzłym szkicu. Wypadkiem tym była tak zwana „krucyata dzieci,” o której wy, kochani czytelnicy, jako rówieśnicy tych młodzieńskich krzyżowców, coś przecie wiedzieć powinniście.

Około 1212 czy 1213 roku tysiące dzieci z Niemiec i Francji w wieku od lat 12 do 18-tu uczuło nieprzepartą chęć udania się do Palestyny, celem odzyskania ziemi świętej. Bez poprzedniego porozumienia się utworzyły one coś w rodzaju dwóch oddzielnych armii i różnemi drogami ruszyły na południe.

Kto i jak namówił dzieci do tak szalonego i nierozumnego przedsięwzięcia, i dlaczego nie zdołano ich zatrzymać, tego źródła ówczesne dokładnie nie objaśniają. Naturalnie, że musieli tam działać ludzie złej woli, pragnący tanim kosztem dostać młodych niewolników, których Turcy i Arabi bardzo poszukiwali. Ale namowy ich nie odniosłyby żadnego skutku, gdyby nie trafiły na grunt podatny i na tkwiący w tych młodzieńczych sercach zapal i miłość dla Ziemi Świętej.

Już cztery pokolenia kolejno udawały się na Wschód do tych odległych zamorskich krain na trudy, walki i śmierć niechybną, odkąd ogniste mowy Piotra Pustelnika zachęciły społeczeństwo do pierwszej krucyaty. Od tego czasu bezustannie prawie szły tam i dążyły zastępy rycerzy z knechtami i wassalami swymi; dużo kobiet nawet towarzyszyło mężom i braciom. Nie było więc prawie rodziny, począwszy od rodzin królewskich, a kończąc na najbiedniejszych i najniższych, z której-by nie wyszedł krzyżowiec. Wprawdzie niektórzy tylko powracali, ale powracali upojeni zwycięstwem, wzmożeni widokiem Grobu Świętego, i choć znużeni i wyczerpani, ale przejęci wielkością swych czynów i nienawiścią do wrogów chrześcijaństwa — Turków. Nie dziw więc, że dzieci ówczesne od kolebki, słyszały tylko o wojnach krzyżowych, o odzyskaniu Ziemi Świętej, o Turkach i wiekopomnych z nimi walkach, a opowiadania te padały na ich szlachetne serduszka, nie kępowane dojrzałym rozumem, jak iskry na słomę. I oto nadszedł pewien czas, kiedy dzieci kilku prowincyi, nie znające się i nie porozumiewające między sobą, nagle porwane zostały, jakby jakąś epidemią szału i ruszyły na odzyskanie Ziemi Świętej. A stało się to właśnie wtedy, kiedy u starszych zapal do krucyat już ostygł nieco, bo poznali dokładnie całą trudność tych wypraw i potęgę niewiernych.

Dzieci niemieckie pod wodzą jakiegoś Niemca, Mikołaja uroiły sobie, że w tym roku będą nadzwyczajne upały, tak, że morza wyschną, i że, suchą nogą udadzą się do Jeruzalem przez łożysko morza Śródziemnego. Tłumami wychodziły ze wsi, miast i miasteczek; puszczały się w drogę bez przewodników, bez żywności i pieniędzy. Gdy je pytano, dokąd i po co idą, odpowiadały: idziemy do Jeruzalem, by oswobodzić Grób Zbawiciela. Naprzmiu rodzice chcieli je zatrzymać; prośba i przemoc nie miały żadnego skutku. Jeśli je zamy-



kano, wyłamywały drzwi i zapory, spuszczały się po sznurach z murów i spieszyły połączyć się z towarzyszami wyprawy. Widziano w tych tłumach dzieci różnego wieku płci i stanu, były takie, co zaledwie 12 lat ukończyły.

Wiele dusz pobożnych upatrywało w tym niepojętym wypadku palec Boży i mniemało, że Chrystus, ku zawstydzeniu potężnych i mądrych ziemi, powierzył świętą sprawę w ręce drobnych i słabych dzieł. Papież, dowiedziawszy się o tym ruchu, nakazał duchowieństwu powstrzymać go, ale z westchnieniem miał się odezwać, iż dzieci wyrzucają starszym ospałość, spiesząc na obronę Ziemi Świętej.

Młodzi krzyżowcy stali się wkrótce ofiarą rozmaitych szalbierzy i włóczęgów. Przysłało do nich niemało złodziei, którzy obrali ich w drodze ze wszystkiego, w co ich opatrzyli litościwi i pobożni mieszkańcy. Do nędzy przyłączyły się choroby, pochodzące ze znużenia i upałów. Wielu zabiłakło się w puszczach i lasach, oraz pomarło z głodu, pragnienia i trudów podróży. Ci, co do Włoch dotarli, znaleźli z wielkiem zdziwieniem, że morze bynajmniej nie wyschło. Część ich przeto rozeszła się po okolicach, część, odarta przez niehumanicznych handlarzy, zaprzędaną została w niewolę; mała garstka tylko starszych i wytrwalszych wróciła, jak synowie marnotrawni, do kraju swego i rodziców, z bosemi nogami, w poszarpanej odzieży, bladzi i wychudli.

Krzyżowcy francuzcy doznali tego samego losu. Zgromadzili się około Paryża, przeszli potem przez Burgundę i przybyli do Marsylii. Tam padli ofiarą nikczemnej spekulacji dwóch kupców francuzkich, handlujących niewolnikami, którzy oświadczyli, że przewiozą ich do Azji bez żadnego wynagrodzenia, jako krzyżowców, jedynie z uczuć pobożności. Ofiara ta została z radością przyjęta przez nieświadomych młodzieńców, i wnet siedm okrętów, naładowanych małymi pielgrzymami, wypłynęło na morze, dążąc do brzegów Syryjskich. Kilka z tych statków zatopili burze, a reszta zawinęła do Aleksandryi w Egipcie, gdzie dzieci zostały sprzedane, jako niewolnicy.

Historycy ówczesni obliczają, że w obu tych wyprawach zginęło około 50,000 dzieci i pacholąt.

Smutny koniec tej krucjaty dzieci, pomimo jej szlachetnego i wzniosłego celu, powinien przekonać, że Opatrzność odmawia swej opieki i nie zwykła wspierać przedsięwzięć, na które się porywamy zawczasie, w niedojrzałym wieku, z brakiem odpowiednich sił i doświadczenia. Gdyby owe dzieci słuchały rad swych rodziców, to za lat kilkanaście, dojrzawszy fizycznie i umysłowo, oraz wprawiwszy się w sztuce rycerskiej, mogłyby, jako prawdziwi krzyżowcy, przynieść rzeczywisty pożytek sprawie, którą tak szczerze pokochali. Tak zaś, przez tę szaloną wyprawę zmarnowały życie bez pożytku, zostawiając tylko żal i żalobę w tysiącach rodzin i pozabawiając następne pokolenie tyłu dzielnych i mężnych pracowników.

(d. c. n.)

A. z Ch. Bozkowska.

## PANNA MARYCHNA Z OPOROWA.

(Ciąg dalszy).

A królowa tymczasem jak gdyby odgadła myśl tę, zwróciła oczy na wdzięczne dziewczęta i zagadnęła pana burmistrza, ktoby były.

Pan burmistrz przychylny szczerze Marychnie, jako przyjaciel jej ojca i dziada, nie omieszkiał opowiedzieć pokrótce jej przgód.

Wysłuchiwała ich z rozrzwinięciem nadobna Elżbieta i postanowiła być matką sierotom.

Rozmowę królowej przerwał dalszy ciąg uroczystości dnia tego. Poprzedzeni przez biskupów, oboje królestwo udali się do kościoła, gdzie w ich obecności odśpiewano *Te Deum*, a następnie do ratusza miejskiego, gdzie odczytano akt wcielenia Prus do Polski, który był zarazem wypowiedzeniem wojny zakonowi i niejako manifestem przed papieżem i całym chrześcijaństwem.

Wieczorem dnia tego pan burmistrz zadyszany wpadł do starego domu Giese'ów oznajmiając Marychnie, że znalazła opiekunkę w królowej i że nazajutrz ma się stawić przed nią.

Marychna sądziła, że śni tylko, ale zaraz przypomniała sobie to, co przyszło jej na myśl poprzednio.

Obecnie wprawdzie nie miała jeszcze pewnych wskazówek, jak ma sobie postąpić, lecz podobna opieka mogła jej być i nadal przydatną.

Królestwo wyjeżdżać mieli niebawem do Elbląga, aby tamże, podobnie jak w Toruniu, obejmować władzę, królowa więc pragnęła spełnić zaraz to, co było w jej mocy, przychodząc w pomoc sierotom, których zajęła się losem.

Gdy panna Marychna znalazła się wobec młodej i pięknej pani, która uściśnęła schylającą się do jej kolan, wstąpiła w nią jakaś błoga otucha. Opowiedziała wszystko, co przeszła, a następnie wspomniała o niepewnych domysłach, a silnem wewnętrznym przekonaniu, jakie miała, że matka jej żyje jeszcze... Ośmieliła się nawet wypowiedzieć to, co wyznała zaledwie przed sobą samą i wiernymi sługami, że ma w podejrzeniu krewnych swych, iż uprowadzili ją dla jakichś zamiarów, mających na celu zagarnięcie jej mienia i że ją zatrzymują dotąd przemocą.

Królowa zadumała się głęboko nad tem, co jej czynić wypadało.

— Dziecię moje — rzekła w końcu — objęte przez nas ziemię, nie są dotąd pod władzą naszą w całej swej rozciągłości, i nie daj Boże doczekać tego, ale mniemam, że wiele jeszcze czasu ubiegnie wśród krwawych utarczek, zanim król jegomość zaprowadzi rządy swoje we wszystkich ich dzielnicach. Dla matki więc twojej więzionej, jak wnosić można w którymś z zamków obronnych, pozostałych jeszcze w rękach krzyżackich, a może nawet w samym Marienburgu, nie obecnie uczynić nie możemy, ale możemy natomiast ochronić od szkodliwych zamysłów złych ludzi ciebie i siostry twoje. Postanowiliśmy przeto uczynić gospodarzem włości i mienia waszego chełmińskiego wojewodę, a was zabrać z sobą do Krakowa, gdzie będziecie bezpieczne do czasu, w którym uczynić wam będziemy mogli sprawiedliwość. Od tej chwili więc, dziewczeczko moja, zaliczoną jesteś do naszych panien dworskich.

— Miłościwa pani — odparła drżącym od wzruszenia głosem panna Marychna — wierzajcie mi, że cenić umiem łaskę waszą i nie zapomnę jej, póki życia stanie, ale miejsce moje tu, gdzie lubo narażona na niebezpieczeństwo, czuwać mogę nad matką, jeżeli przeto mienie nasze poruczacie pieczy wojewody chełmińskiego, to zechciejcie zarazem i sprawę matki mu polecić... Niechaj mi wolno będzie odwołać się do niego w każdej potrzebie i w każdej chwili zażądać pomocy. Nie wiem dziś jeszcze, co mi przedsięwziąć wypadnie, nie wątpię wszakże, że Bóg mi zesze po temu natchnienie.

Królowa czuła, że panna Marychna spełnia swój obowiązek, nie mogła ją więc od tego odwozić, aczkolwiek wiedziała, że prawdopodobnie naraża się daremnie na wielkie niebezpieczeństwo. Próbowала więc tylko skłonić ją jeszcze, aby siostry wysłała do Krakowa.

Panna Marychna rada była niewątpliwie zabezpieczyć w ten sposób to co miała najdroższego, ale z drugiej strony zważywszy, że dzieci, pozabawione niedawno matki, cierpiałyby nadmiernie z powodu rozłączenia się z siostrą, która ją zastępowała, przyjąć nie mogła i tej łaski królowej.

Opieka zresztą wojewody chełmińskiego i stały pobyt w Toruniu były jej rękojmnią względnego spokoju.

Podziękowawszy więc raz jeszcze dobrej pani, pożegnała ją i powróciła do domu, uradowana błogą jakąś nadzieją.



Nikt nie wiedział, gdzie chodziła, gdyż lękała się wszelkiego rozgłosu, który zwrócić mógł na nią uwagę nieprzyjaciół. Ucisnęła tylko żywo garnące się do niej siostrzyczki.

— Pieszczotko moja — rzekła do Jadwichny, która, usiadłszy na kolanach, objęła jej szyję — powiedz mi, co ci się podobało najlepiej z tego, co widziałyście wczoraj?

Jadwichna potarła rączką czoło, jak gdyby chcąc zebrać myśli, a potem zawołała, klasnąwszy w dłonie:

— Oto orzeł ten srebrzysty, co bujał jakby żywy ponad tronem królewskim w rynku, a oczy miał rubinowe...

Antochna wzruszyła wzdargliwie ramionami.

— Jakież jeszcze dziecko z ciebie — rzekła.

— A cóż tobie się wydało najgodniejszego uwagi? — zapytała jej z uśmiechem starsza siostra.

— Trudno to powiedzieć, ale najpierw wjazd królewski bardzo był piękny i wspaniały, a potem jeszcze gdy król zasiadł na tronie, a wojewoda chełmiński rzucał mu pod nogi chorągwie, a potem znów w kościele gdy wszystkie te tysiączne głosy zaśpiewały wraz z księdzem biskupem władysławskim *Te Deum laudamus*...

— Ja tam znów oczu oderwać nie mogłam od królowej — wtrąciła Cela — śliczna to pani, a widać dobra jak anioł, bo uśmiecha się tak łagodnie i przemawia tak mile do wszystkich...

— A cóżbyś powiedziała, Celu moja — zapytała Marychna — gdyby ta piękna pani chciała wziąć cię z sobą do Krakowa?

— Z tobą, siostrzyczko?

— Nie, bezemnie...

— Nie pojechałabym nigdy, choćby mi dała w dodatku wszystkie perły i kosztowności, jakie miała na sobie.

— A wy pieszczotki moje, czy pojechałybyście z królową?

— Nigdy, nigdy! — zawołały obie młodsze dziewczeczki — ale czemu nas o to pytasz?

— Ot tak sobie — odparła z uśmiechem Marychna — chciałam się dowiedzieć czy mnie kochacie, choć czasem was połajac muszę.

— Czy cię kochamy? — ozwały się naraz trzy dziewczeczki, a potem Marychna obsypaną została prawdziwym gradem pocałunków, który jej przez chwilę mówić nie dozwolił.

Nazajutrz po odjeździe królestwa oznajmiono jej, że wojewoda chełmiński przybył w gościnę.

Pospieszyła więc do bawialnej komnaty powitać niskim ukłonem zacnego gościa, odgadując, że spełnia polecenie królowej. Jakoż usiadłszy na dębowej ławie, kordybanem obitej, pan wojewoda wszczął zaraz rzecz o tem, co go tu sprowadzało. Oświadczył najpierw, że zgodnie z życzeniem królowej jejmości zajmie się mieniem sierocem, a następnie broń będzie dziewczęta od wszelkiej niesprawiedliwości i krzywdy, gotów też na każde zawołanie panny Marychny przysłać

choćby cały hufiec zbrojnych, którzy posłuszni będą jej rozkazom.

— Wiem bowiem — dodał ciszej — że macie na sercu znaczne zamiary, w których dopomóżd wam się będę starał. A może — dodał jeszcze, głos zniżając — i wiem coś, co wam dać może niejaka wskazówkę...

Marychna złożyła ręce, prosząc, aby wszystko opowiedzieć zechciał, o czem zasłyszał tylko, i z palającym rumieńcem przysłuchiwała się temu, co mówił dalej.

Miał wojewoda włości w pobliżu Stuhmu, gdzie się ob-

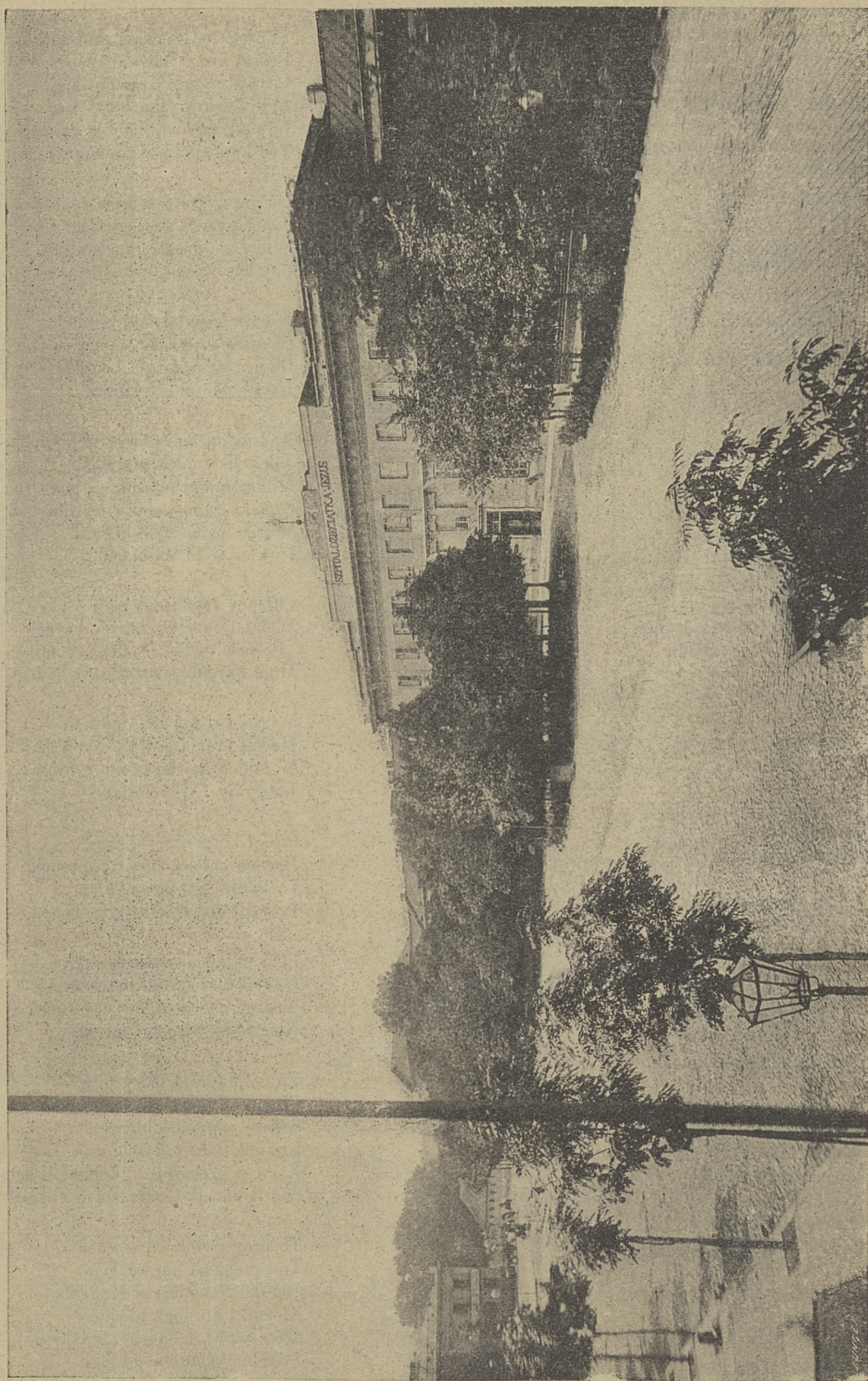
warowali Krzyżacy. Otóż przypominał sobie, że znajdując się tam właśnie w czasie nieszczęsnej przygody pani Oporowskiej, był świadkiem dziwnego wypadku. Jeden z leśników jego, który uchodził za czarownika, a był, ma się rozumieć, tylko zręcznym oszustem, obwiniony został o zatrzymanie kogoś przemocą w swej chacie. Ludzie, przechodzący tamtędy, co jedynie zdarzało się przypadkowo, bo wszyscy unikali Wilhelma, słyszeli wyraźnie głos jakiś, wołający ratunku, który później nie odzywał się więcej, a że leśniczy pod ten czas krążył ciągle w pobliżu chaty i nie dopuszczał tam nikogo, mniemano, że może w istocie dopuścił się jakiegoś gwałtu. Lękano się go zaczepiać, ale mówiono o tem tak głośno, że rzecz ta doszła uszu wojewody. Zatem Gabryel Baisen, jako mąż prawy i sprawiedliwy, uczuł się w obowiązku powziąć pewną wiadomość, o ile prawdziwemi być mogły te pogłoski. Zastrawszy więc kilku ludzi dworskich, poszedł sam przetrząsnąć chatę. Wilhelm przydubany niespodzianie, zbladł, lecz wkrótce odzyskał pewność siebie



Chciałbym z panem pomówić panie Jeorling. (str. 184).

i otworzywszy drzwi na oścież, zaprosił pana swego do wnętrza domostwa, prosząc, aby zechciał spocząć po trudach łowieckich. Ale wojewoda oświadczył mu surowo, że nie na łów przybył do kniei, lecz aby sprawdzić wieści, obrotające się o gwałt, a może o zabójstwo. Leśniczy znów zawahał się niby sam w sobie, ale potem, skłoniwszy się nisko wanieczając otworzył komorę, strych, a nawet wielką strzyżnię, w której składał skóry zabitych kun i rysiów. Obszukano wszędzie i nie znaleziono nikogo ani też poszlaki śladnej, tylko wojewoda zauważywszy na ziemi jakiś błyszczący przedmiot, podniósł go nieznacznie, podczas gdy ludzie jego wraz z gospodarzem odwróceniem byli w inną stronę. Był to guz od koblaczej si kni... Schował go, nic nie mówiąc, a nazajutrz przyszedł sam aby wybadać obwinionego. Nie zastał go wszakże; wszystko w chacie było na swoim miejscu, gospodarz tylko znikł i nie pokazał się więcej. Zniknięcie to bez wieści przekonowało wojewodę, że winnym być musiał w istocie, lecz dojąc tej nie było sposobu, tem więcej, że w owych czasach nie łatwo było wytropić zbrodniarzy.





Szpital Dzieciątka Jezus w Warszawie.



— A guz ten — zawołała panna Marychna — wysłuchawszy bez tchu prawie całego opowiadania.

— Oto jest — rzekł, dobywając go wojewoda.

Był to granat, ciężko oprawny w srebrze, u uszka widne były jeszcze ślady nici, które go przymocowywały wpierw do sukni.

— O Boże, Boże mój, to od jubki, którą matka moja miała na sobie w dzień naszego nieszczęścia! — zawołała, wybuchając gwałtownym płaczem. A więc nie myliły mię przeczucia, matka żyła wtedy, gdy mniemano, że zamordowaną została okrutnie, ale czyż dzisiaj żyje jeszcze?

— Uspokój się waszmość panna — rzekł łagodnie wojewoda — boć przecież nędznik ten narzędziem tylko być musiał w rękę jej nieprzyjaciół, a ci dla osiągnięcia celów swoich chcieli mieć żywą, nie umarłą.

(d. c. n.)

## B A Ś Ń

O WDOWIE I JEJ TRZECH SYNACH.

p. Deoty mę.

(Dalszy ciąg).

„Znana mi jaskinia jedna,  
Tam na ziemi piasek złoty,  
A na ścianach są klejnoty;  
Tam znajdziecie skarb bezedna.  
„Lub zaklęty miecz dać mogę,  
Co na wojska rzuca trwogę,  
Lub pierścione jak włos cienki,  
Co przykuwa myśl panienki.

„Jeśli dręczą was zgryzoty,  
Mam ja we łzawnicy złotej,  
Z róż błękitnych wysączany,  
Balsam na serdeczne rany.”

— U nas, rzekną mu chłopaki,  
Jest zgryzota, ale takiej  
Żaden balsam nie uśmierzał”

Tu rozwarli drzwi alkierza.  
Starzec ujrzał martwą wdowę,  
I zrozumiał... schylił głowę.

„Was mi sierot żal, powiada,  
Lecz tu ciężka czarom tama...  
Znana mi i na śmierć rada,  
Ale straszna jak śmierć sama.

„Za puszcami, za krajami,  
Kędy tysiąc pokus mami,  
Jest u końca, blisko słońca,  
Góra sławna na świat cały.

„Na Sobotniej górze rośnie  
Drzewo, co o każdej wiosnie  
Daje niebieskie migdały.  
Na niem siedzi ptak, ze śpiewem  
Gadającym, a pod drzewem  
Tryska źródło, dziw nad dziwy!  
Pod kropelką jego wody,  
Starzec się odradza młody,  
A umarły wstaje żywy!”

Co to? Już chłopaki biegą?  
Jeden skacze przez drugiego...  
Mądral pierwszy wstrzymał pędy,  
Aby spytać się: „Którędy?”

A staruszek się uśmiecha.

„Patrzeć na was, rzekł — pociecha.  
Ale drogi cel daleki,  
Duchy jej obłudne strzegą.  
Kto nie wróci dnia siódmego,  
Ten nie wróci już na wieki!

„Trzeba milcząc iść prościutko;  
Prosta droga zawsze krótka.  
Lecz kto stąpi raz ukośnie,  
Lub wymówi choćby słowo,  
Lub się zwróci, choćby głową,  
Ten kamieniem w ziemię wrośnie.

Iść nie dosyć z sercem śmiałem,  
Trzeba serce mieć gorące,  
Wiem, że poszły tam tysiące,  
Czy kto wrócił, nie słyszałem.”

Starzec szeptał jakby ponik...  
Chwilkę przycichł — i z tą chwilką  
Gdzieś się podział... w chacie tylko  
Lata sobie polny konik.

Nad chłopcami chwiał skrzydełka  
Jak seledynowe szkiełka,  
Modrą migał im sukienką,  
Główka jego wciąż ruchliwa  
Wąsikami na nich kiwa,  
I wyleciał przez okienko.

Chłopcy się szamoczą w pędzie...  
Wzięli Dobrotko za czapczynę,  
„Puśćcie! woła — chociaż zginę,  
Mnie najmniejsza szkoda będzie.”

Właśnie ci też iść, dzieciaku!  
Mówią bracia. — Rośnie wrzawa.  
W końcu najstarszemu z prawa  
Ustąpili: „Idź Junaku.”

Wziął konewkę obijaną,  
Bochen chleba, nóż z toporem,  
I właśnie jak świta rano,  
Poszedł Junak czarnym borem.

„Oj! pytają bracia — jaka  
Cierpliwość te dni przetrzyma?”  
Siódmy nadszedł; — coś Junaka  
Niema, do wieczora niema!

Z ócz Mądrala iskry biją...  
Chwyta flaszę długoszyją,  
Sakwę napęłnił obficie  
Kukielkami i o świecie  
Znikł w gęstwinie. „Żegnaj bracie!”  
Sam Dobrotko, sam już w chacie!

To przy zwłokach się użala,  
To przebiega bór oczyma.  
Już dzień siódmy a Mądrala  
Niema, i do nocy niema!  
Więc wziął dzbanek z wązkiem uszkiem,  
Podpłomyków do torebki,  
Wrota zamknął na zaszczepekki,  
Poszedł z sercem i z dzbanuszkkiem.

W wielkich trawach brnie po rosie,  
Przeskakuje pnie, strumyki,  
Przedziera się w krętym wrzosie,  
Idzie, idzie przez las dziki.



Z rosy oschły już listeczki,  
On nie zważa gdzie są steczki,  
Prosto zdąża chłopię młode  
Po odżywiającej wodę.  
Z drzew od czasu mu do czasu  
Dzwonią ptaszków winszowania,  
I konwalia mu się kłania.  
Aż nakoniec wyszedł z lasu.

Patrzy: a tu kraj nieznany;  
Z rzek się żywa krew przelewa,  
Ołowiane stoją drzewa,  
Dalej miasta, których ściany  
Całe kute są z żelaza,  
Dach ze smoczej łuski rudej.  
Z miast wychodzą wielkoludy,  
Zbrojne, groźne jak zaraza.

Idą — chłopca obścapiły.  
Wódz ich, niosący dwa miecze,  
Piorunowym głosem rzecze:  
„Ja zarządzam w państwie siły;  
Zwę się Drągał; — przed mą sławą  
Drży całe człowiecze plemię.  
A jest u mnie takie prawo:  
Kto chce przejść przez moje ziemie,  
Musi pierw się zmierzyć ze mną.  
Gdy od walki się uchyli,  
Wszyscy będą nim gardzili.”

Dobrotkowi w oczach ciemno...  
Kręci mu się biedna główka...  
Lecz nie mówiąc ani słówka,

Idzie ciągle, spuszcza oczy.  
Drągał ciągle za nim kroczy:  
„A cóż? nie chcesz? Wstydź się mały;  
Tobie zdrowie z oczu świeci,  
A boisz się, teraz dzieci  
Będą się z Dobrotką śmiały.”

Pacholątko sobie myśli:  
„Dla mnie znośna próba taka;  
Lecz tu strach mi o Junaka.”  
Jednak, gdy do miasta przyszli,  
Zaczerwienił się po włosy,  
Usłyszawszy setne głosy:  
„Widzisz, jak ten tchórz ucieka?”  
I jak z iskry ogień błyska,  
Tak z pobliza i z daleka  
Runął śmiech urągowiska.  
Przez ulice i przez rynki  
Chłopiec idzie, ale w męce...  
Wskazują go wszystkie ręce,  
Z wszystkich okien lecą drwinki.  
Nakoniec i wyszedł z miasta.  
Mimo trudu, moc mu wzrasta,  
Bo pokusa zwyciężona  
Zdolna skrzydła wpiąć w ramiona.

Czasem tylko, dla ochłody,  
Ze dzbanka popija wody,  
Co na drogę wziął z zagrody.

Kiedy słońce z nieba ginie,  
Wszedł na wielkie wydmy piasku.

Noc przeciąga się do brzasku,  
On wędruje przez pustynię.  
Już się nudzi... aż w południe  
Ku nieznanej zszedł krainie:  
Wszędzie ludnie, wszędzie cudnie!  
Przed nim droga, jak dla pana,  
Cienkiem sukniem wyścielana;  
Z każdej strony płynię rzeka,  
Jedna z miodu, druga z mleka.  
Na wybrzeżu, zwodząc tany,  
Razem piją wilk z barankiem.  
Dalej pałac zwierciadłany  
Koralowym świeci gankiem.  
W koło ogród z wieczną wiosną,  
Tam na wierzbach gruszki rosą,  
A wśród drzew, zamiast słowika,  
Dźwięczą liry samograje.  
Chłopiec patrzy i poznaje  
Że to kraj króla Gwoździka.

Ledwie nadszedł, czujna warta,  
Co na zwierciadlanej wieży  
Stała o włócznię oparta,  
W trąbę z całych sił uderzy,  
Bramy gmachu się rozwarły:  
Z nich wyjeżdża w pysznej grozie  
Wóz żałobny, a na wozie...  
Ach! król Gwoździk leży zmarły!

(d. c. n.)

## SFINKS ŁODOWY,

przez

JULIUSZA YERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

### Od Kerguelen do wyspy księcia Edwarda.

Nie można życzyć sobie lepszych warunków do podróży morskiej nad te, które niebo łaskawe otoczyło żaglowiec Halbran od pierwszej chwili opuszczenia portu Christmas. To też z tem większym zadowoleniem znajdowałem się na pokładzie statku, unoszącym mię z szybkością 9 mil na godzinę, a myśli moje błądząc tu i owdzie, wracały uporeczywie do pytania, jaka właściwie przyczyna podziałała na zmianę zdania kapitana Len Guy, odnośnie do mej osoby.

Wewnętrzne urządzenie statku odpowiadało w zupełności jego zewnętrznemu wyglądowi. Wszędzie ład i porządek iście holenderski; akuratanść w obsłudze; rygor wojskowy wśród załogi.

Znajdująca się na przodzie kajuta kapitana, dozwalała mu, przez odpowiednio umieszczone okno, spoglądać na całą przestrzeń morza i zarazem mieć baczenie na tę stronę pokładu. To też nie ruszając się z miejsca mógł on wydawać swym podwładnym potrzebne rozporządzenia.

Takaż sama kajuta, którą zajmował pułkownik, znajdowała się w tyle okrętu. Obie rozmiarów zaledwie koniecznych, obie z urządzeniem nad wyraz skromnem. Z dwóch drugich umieszczonych po bokach statku, jedna była wspólną jadalnią, z długim stołem i takimiż ławami, druga stała się mojem czasowem pomieszczeniem. O wykwincie lub zbytku nie mogło być tam i mowy; sprzęty zaledwie niezbędne i twarde materac na łóżku nie byłyby pewno zadowolniły wielu po-

dróżnych. Mnie jednak wystarczyły, tem więcej, że nie dłużej nad 4 do 5-ciu tygodni miałem korzystać z gościnności kapitana.

Na przodzie, tuż pod trójkątnym żaglem mieściła się w głębi kuchnia i cała część gospodarcza żaglowca; osobne schodki od ruchomej kłapy w pokładzie, która w razie niepogody hermetycznie mogła być zamknięta, prowadziły tutaj.

Z 8 ludzi załogi, Marcin Holt czuwał wyłącznie nad całą, skomplikowaną i trudną sztuką stosownego użycia żagli; Hardi doglądał całości statku, Roger, Drap, Francis, Grattan, Burry i Stern byli majtkami w wieku od 25 do 35 lat. Wszyscy Anglicy z okolic wybrzeży kanału La Manche, wszyscy zręczni i odważni w swem rzemiośle, wszyscy posłuszni na skinienie żelaznej ręki, która nimi kierowała, ręki nie samego kapitana, lecz oficera jego, człowieka wyjątkowych zdolności, jak od pierwszej chwili poznania, oceniłem pułkownika Jem West.

Urodzony na statku, gdyż ojciec jego był właścicielem rybackiej gabary na której żyła też cała rodzina, Jem West, to dziecko morza w całym tego słowa znaczeniu, nie wiedząc prawie czem jest życie na lądzie, był marynarzem z rzeczywistego powołania. Pracą i zamięłowaniem w swym zawodzie oraz nabytem doświadczeniem, od chłopca okrętowego dosługiwał się szybko stopni coraz wyższych, tak, iż już do lat 10 pełnił na Halbranie obowiązki porucznika, pod rozkazami kapitana Len Guy.



Ambitny, lecz nie w kierunku wzbogacenia się, a jedynie w nabyciu potrzebnych wiadomości jego zawodowi, znał jak mało może pośród najwytrawniejszych współczesnych mu marynarzy, całą trudną sztukę bezpiecznego prowadzenia żaglowca w takich warunkach, na jakie wystawiony był Halbran, w swych bezustannych wędrówkach po morzach południowych.

Mając lat nie więcej nad 35, silnej budowy, o regularnych rysach, z twarzą bez zarostu i jaśniejącą bystrością w oczach, porucznik Jem West, równie małomówny jak jego kapitan, był mu oddany całą duszą.

Aby nie pominąć nikogo z załogi, należy tu jeszcze wspomnieć o murzynie Endirot, który, rodem z wybrzeży południowej Afryki, pełnił na statku również od lat wielu obowiązki kucharza.

W przyjaźni z bosmanem znawcą sztuki kulinarnej, pocziwy murzyn skracał sobie wolne od zajęcia chwile, długimi z nim pogawędkami. Wszakże nowe „menu” potraw, które najczęściej były wynikiem tych rozpraw, nie zdołały nigdy zwrócić uwagi obojętnych, po większej części, w tym kierunku, współbiedniaków Halbranu.

Regulamin życia był tu surowy i prosty pozbawiony jakiegokolwiek urozmaïcenia. Ten jednak brak towarzystwa i ta monotonność nie przykryły mi się wcale, owszem, miarowe kołysanie statku usposabiało mię do rozmyślań, wprowadzając do duszy jakiś dobroczynny spokój i ciszę.

Być może, że wrodzona każdemu ciekawość domagała się u mnie bliższego poznania kapitana; nie uważałem jednak za stosowne naprzykrzać się mu swoją osobą, skoro widocznie sam unikał wszelkiego ze mną zblżenia.

Jednakże w czasie krótkich chwil przeznaczonych na wspólny posiłek, gdy po zamianie ogólnego powitania i co najwyżej jakiejś uwadze o stanie pogody, zwykła cisza zapanała przy jadalnym stole, pochwyciłem kilka razy skierowane na mnie badawcze spojrzenie tego człowieka, i jakby chęć wyraźną pytania mię o coś. Czego wszakże pragnął on dowiedzieć się odemnie, gdy nie ja jemu, lecz on mnie winien był do pewnego stopnia wytłomaczenie.

Najinowniejszym z całej załogi okazywał się Hurliguerly, który każdego ranka nie zaniedbał mię witać, pytając troskliwie, czy nie mam jakiego życzenia, czy mi pożywienie smakuje, czy nie pragnę jakiej zmiany?

— Dziękuję ci, Hurliguerly — odpowiedziałem mu dnia jednego; — wystarcza mi zupełnie to, co jest. U przyjaciela twego pod Zielonym kormoranem, nie byłem lepiej żywionym.

— Ho! ho! zna się stary Atkins na interesie, choć w gruncie dobry to człowiek.

— Tego samego zdania i ja jestem.

— Mnie się tylko zawsze dziwnem wydaje, panie Jeorling, jak ten Amorykanin wraz ze swą rodziną godzi się na takie życie...

— Na jakie właściwie?

— Że się czuje na tych wyspach szczęśliwym.

— Dowodzi tem wielkiego rozsądku.

— Być może!... Żle jednak wybrałby się do mnie z propozycją o zamianę. Czuję się tu lepiej, niż gdziekolwiek.

— Powinszować ci, bosmanie..

— I wierz mi pan — mówił dalej z zapalem marynarz —

że za szczęśliwego może się uważać każdy, kto na Halbranie miejsce dla siebie znalazł. Nasz kapitan mówi wprawdzie mało, również niezbyt szczodrym w słowach jest porucznik...

— Zauważyłem to już...

— A jednak rzadko o takich ludzi, możesz mi pan wierzyć, i przekonany jestem, iż z żalem opuścisz nasz statek.

— Miło mi to słyszeć, bosmanie.

— A zważ pan tylko, że z wiatrem, który nam tak przyjaźnie wieje i tak spokojnem morzem, którego powierzchnie jedynie wieloryby i rekiny poruszają, nastąpi to bardzo szybko. Nie więcej nad dni 10 potrzeba nam będzie na przebycie tych 1300 mil, które rozdzielają Kerguelen od Prinz-Eduard, a około dni 15-stu wystarczy nam pewnie znowu na owe 25000 mil od tych ostatnich do Tristan d'Akunha.

— Zobaczymy, co nam czas przyniesie, bo nieobcemu pewnie jest ci przysłowie marynarskie, które mówi: kto chce kłamać, niech przepowiada pogodę; przynaj, że dużo jest w tem prawdy.

Pogoda jednak nie zawiodła nas w najmniejszej rzeczy i 18 sierpnia po południu strażę oznajmiły widziane w dali góry wysp „Crozet”, położonych między 42° 59 szerokości południowej, a 47° długości zachodniej.

Nazajutrz zostawiliśmy za sobą wyspy Possession i Schweine, uczęszczane tylko w czasie połowu na wieloryby, a których jedynymi w owe czasy mieszkańcami były całe gromady pingwinów. O poszarpane brzegi tych ziem rozbijały się z hukiem spienione wody oceanu, zabierając odłamy lodowców. Temperatura bowiem w miesiącu sierpniu na przestrzeniach południowej półkuli, mrozną jest jeszcze i zimową zupełnie.

Ponieważ w monotonnem życiu na pełnem morzu, ukazanie się lądu jest wypadkiem budzącym ogólne zainteresowanie, spodziewałem się, że kapitan skorzysta ze sposobności i przerwie uporczywe milczenie względem swego pasażera. Spotkał mię jednak nowy zawód, przeciwko któremu wszakże? nie zanadto się już burzyłem i godziłem się z myślą, że jednostajności mej podróży nie urozmaici już żaden wypadek. Tymczasem, gdym dnia jednego siadł na chwilę na pokładzie, kapitan Len Guy ukazał się z przeciwnej strony statku i więcej zapewne z przyzwyczajenia, niż z potrzeby, zatrzymał się przy wielkim kompasie, popatrzył następnie czas jakiś na długą smugę białej piany, którą przejście żaglowca zostawiało za sobą na wodach, aż wreszcie ku wielkiemu memu zdziwieniu, zbliżył się szybkim krokiem do mnie i mimo szelestu żagli i szumu fal, rzekł właściwym sobie szeptem:

— Chciałbym z panem pomówić panie Jeorling.

— Słucham pana — odrzekłem.

— Z natury małomówny, nie uczyniłem tego dotychczas; zresztą, czyż rozmowa ze mną mogłaby pana w czemkolwiek zainteresować...

— Niesłusznie sądzisz, kapitanie, przeciwnie bowiem, rozmowa z panem, budzi najwyższe me zajęcie — odrzekłem z odcieniem ironii w głosie.

Czy nie dostrzegł jej, czy też umyślnie ją pominął, dość, że zajął miejsce obok mnie na ławie.

— Słucham pana — rzekłem grzecznie, lecz tonem zimnym.

(d. c. n.)

#### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Szpital Dzieciątka Jezus (z ryc.) — Wojny krzyżowe. — Panna Maryehna z Oporowa przez A. z Ch. Borkowską. — Baśń o wdowie i jej trzech synach, wiersz przez Deotymę. — Sfinks lodowy, przez Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Dodatek: Kot uczepiony (z ryc.) — Niezapominajka, wiersz. — Opowiadanie babuni. — Wieszcza bzu. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Wśród chmur i słońca, przełożyła z angielskiego Marya B.



# WIECZORY RODZINNE

## KOT UCZEPIONY.

Gra towarzyska.

Grający tworzą koło. Na okrzyk: „ostatni kot uczepiony” wszyscy się rozbiegają i starają się na czemś uczepić, nie dotykając ziemi, np. usiąść na parkanie, na kamieniu, na schodach, uczepić się płotu, drzewa i t. p.

Ten, który nie znalazł dla siebie odpowiedniego miejsca, albo też ostatni z kolei się na czemś zaczepił, przyjmuje na siebie rolę kota.

Wtedy grający mogą dowoli zmieniać miejsca, i kot powinien ich chwycać w biegu. Jeżeli mu się to uda, zanim dobiegną do miejsca, ten, którego schwytał, zastępuje go. Nowy kot nie może porwać „ojca” t. j. tego, który dopiero go złapał, nim ten nie zajmie swego miejsca.

Dopóki grający siedzi, kot nie ma też prawa go ruszyć.

Marya Weryho.



## Niezapominajka.

Ni wytwną postacią, ni wonnym oddechem  
Nie obdarzył cię kwiatku Bóg, co mieszka w niebie,  
Czemż więc każdy na cię spogląda z uśmiechem,  
I ze słodkiem wzruszeniem schyla się do ciebie?..

Jakimż dziwnym urokiem postać twa owiana,  
Że i wielcy i mali — równo cię kochają?...  
W twych błękitnych oczętach jest moc niezbadana,  
Której wszyscy śmiertelni kornie się poddają,

O! znam ja moc tę wielką, tę tajemną siłę,  
Trwalsza ona, niż pomnik z brązu i kamienia,  
Ktorej wdzięcznym obrazem są twe kwiatki miłe,

Ona drogie nam twarze blaskiem opromienia,  
I przetrwać im dozwala aż poza mogiłę:  
Jest nią władza pamięci i siła wspomnienia.

J...a.

## OPOWIADANIE BABUNI.

(Dokończenie).

Czas włókł się dla Jadwisi bardzo powoli, bo nieznacznie przychodziła do zdrowia, a będąc po większej części samą, bo staruszka ciągle wychodziła z domu, mogła bez przeszkody przechodzić myślą całą swą przeszłość.

A ta przeszłość była dla niej straszną! Widziała, jak powoli złem postępowaniem zatruwała spokój rodzicom, jak nareszcie te zgryzoty przyczyniły się do ich śmierci. Te-

raz w głębi serca przysięgała Bogu, że cokolwiek ją czeka, będzie się starała tak zachowywać, żeby nagrodzić swoje przeszłe postępowanie.

I tak przeszła wiosna i pół lata. Jadwisia przyszła do siebie, krzątała się u swojej opiekunki, nie umiając zdać sobie sprawy, co ma począć, bo czuła, że tak bezczynnie zostać nie powinna.

— Biedna panienko — rzekła raz do niej staruszka — nie masz tu co robić, na dwie nam chleba z pracy mojej nie wystarczy, a i ty powinnaś pracować na siebie. Dam ci służbę. Teraz potrzebuje jedna moja znajoma ta pani dziewczynki do usługi, zaprowadzę cię tam sama.

Jadwisia miała lat czternaście. Nie było co robić, poszła z płaczem za staruszką do owej pani, o której mówiła. Jadwisia nie śmiała nic powiedzieć, babulka się za nią umówiła i poszła. Biedna dziewczynka została sama, nie wiedziała, co robić i za co się wziąć. Obecna jej pani była to także staruszka bardzo niezamożna, a ciągle słaba. Biedna sierota chwilki spokoju nie miała; chora w dzień i w nocy bezustannie potrzebowała jej usługi. Jadwisia wszystkie przykrości przyjmowała z pokorą, jako zasłużoną karę, często cicho popłakała, ale powoli zaczęła się oswajać ze swoim położeniem, staruszka się do niej przywiązała, lecz w półtora roku potem w marcu na jej rękę Bogu ducha oddała. Jadwisia serdecznie opłakała dobrą swoją panią i znowu została samą.

Ale teraz miała już więcej doświadczenia, a więc sama starała się o służbę. Nie umiając nic, tylko do usługi przydać się mogła. Była teraz cichą, łagodną, spokojnie znosiła, jak nazywała, zasłużoną karę za to, że była nieposłuszną córką. I znowu nowe życie rozpoczęła. Tu jej było gorzej, chociaż dom był zamożny, ale było kilka-



ro dzieci ogromnie pieszczonych i swawolnych. Widząc tak młodą sługę, dzieci uprzykrzały się i dokuczały jej ciągle. Biedna, siedząc nieraz z robotą, zalewała się gorzkiemi łzami, myśląc o swojej przeszłości, i że sama jest winną dzisiejszej swojej biedzie. Wtedy zdawało się jej, że gdyby to się wróciły dawniejsze czasy, jakby to się ona uczyła, jak posłuszną i dobrą byłaby córką. Ale na próżno, co przeszło, to już nie wraca. Modliła się tylko gorąco do Pana Boga i z pokorą znosząc swoje przykrości, wytrwała tak rok cały. Aż się znowu zjawiała do niej ta sama babulka, co ją przyjęła po śmierci rodziców. Powitałszy serdecznie Jadwisię, powiedziała:

— Wiem, moje dziecko, że ci tu bardzo niedobrze, ale mam teraz dla ciebie lepsze miejsce.

Oddaliła się więc Jadwisia, żegnając z radością uprzykrzone dzieci, i poszła za staruszką do pani Janickiej, osoby niezbyt młodej, bardzo przyjemnej powierzchowności, ze smutnym wyrazem twarzy, jakby już wiele nieszczęść w życiu swoim doświadczyła. Była to pani bogata, mieszkająca wystawnie. Złękła się zrazu Jadwisia, obaczywszy takie bogactwa, ale pani Janicka łagodnie do niej przemówiła, czem ją ośmieliła, Jadwisia była łagodna, cicha i bardzo smutna, czem zwróciła uwagę swej pani, a na zapytanie, dlaczego jest smutna, zalała się łzami i nic odpowiedzieć nie mogła, czem jeszcze bardziej współczucie obudziła.

W kilka tygodni pani Janicka spytała Jadwisię, czy nie miała krewnego Jana Żarskiego?

— To mój ojciec — odpowiedziała zdziwiona Jadwisia.

Ojciec twój, gdzież on jest?

Tu Jadwisia, tłumiąc płacz, wszystko opowiedziała. Wysłuchawszy do końca, pani Janicka podeszła do Jadwisi i, całując ją czule w głowę, powiedziała:

— Widać jest wolą Pana Boga, abym ci wypłaciła dług, zaciągnięty u twego ojca. Jego mądrym porądom przed kilkunastu laty zawdzięczam, że wróciła do dawnego dostatku, ale wówczas nic sama nie miałam i nie mogłam jego pracy wynagrodzić. Po odzyskaniu funduszu przed paru laty jeździłam umyślnie do Nowogródka dla odszukania pana Żarskiego, aby mu dług należny wypłacić, ale go tam nie znalazłam, powiedziano mi, że gdzieś wyjechał i nic o nim nie wiedzą, lecz ja zawsze się uważałam za dłużniczkę, mając nadzieję w jakikolwiek sposób wywdzięczyc się memu doradcy, teraz Bóg nastreczył mi sposobność; powiedz, moja Jadwisiu, co chcesz, abym ci zrobiła?

Jadwisia, całując ręce pani Janickiej, szeptała:

— Pani, dopomóż mi, ażebym się mogła czego nauczyć.

— O! z największą ochotą oddam cię na pensję, od dziś już nie jesteś moją sługą.

Jak powiedziała, tak i zrobiła zacna pani: oddała Jadwisię na pensję, gdzie biedaczka wiele upokorzenia znieść musiała, bo pomimo kilkoletniej nauki bardzo mało co umiała, a przez trzy lata zapomniła wszystkiego. Przyjęto ją do klasy drugiej. Będąc dorosłą panią, między małemi dziewczeczkami, nieraz narażoną była na żarty, ale przeszedłszy taką bolesną szkołę, spokojnie to

przyjmowała, i we cztery lata skończyła pensję z pochwałą, jako pierwsza uczennica.

Od lat kilku jest nauczycielką bardzo poszukiwaną, bo naukę gruntownie posiada, kształcąc się sama ciągle, jest przytem bardzo łagodną i dobrą. Co rok tu przyjeżdża na grób rodziców; będąc się starała, ażebyście ją mogły poznać.

Tu Zosia przycisnęła usta do pomarszczonej ręki staruszki i wyszeptała:

— O! babuniu moja, ja się poprawię i nie będę już tak leniwą, a proszę, pokaż mi tę Jadwisię, jak przyjedzie.

— A cóż się stało z ową babulką, co się nią opiekowała? — zawołała Wańdzia.

— Jadwisia bierze dużą pensję, jako nauczycielka, i z tej wyznaczyła jej pewną kwotę, którą każdorocznie wypłaca, a staruszka żyje jeszcze i błogosławi Jadwisię.

*Zofia Sawicka.*

## WIESZCZKA BZU.

(Kochanemu Józikowi M. ofiaruje autor).

(Dalszy ciąg).

Jaskółka, którą widocznie razil krzykliwy świegot wróbla, wystąpiła teraz, mówiąc łagodnie i spokojnie:

— Gniazdo zbudowałam sama z pomocą męża dla drogich moich dziattek, a ten bezczelny napastnik wtargnął doń przemocą i omal mnie nie pokaleczył, tak, że w ucieczce szukać musiałam ratunku.

— Krzywdy waćpani nie zrobiłem — odparł wróbel — i nie ja do ciebie, ale ty do mnie wpadłaś. Niech każdy pójdzie i przekona się, czy widział kto u jakiej jaskółki takie porządne posłanie, tyle pierza i słomy. Zaraz można poznać, że tam wróbel mieszka.

— Rabusiu — rzekła z pogardą jaskółka — prędko się rozpanoszył nie w swoim gnieździe. Sama jego budowa wskazuje, że jest on dziełem takich pracowitych i zręcznych ptasząt, jak my.

Szkarłatka była w wielkim kłopotcie, nie wiedziała, ani jak jaskółka buduje, ani jak wróbel mieszka. Wróbel jednak zaczął tak przekonywająco świegotać, tak wymownie tłumaczyć, tak śmiało przekonywać, że Szkarłatka uwierzyła, iż jaskółka, która tylko pełnym pogardy i oburzenia półsłówkami odpowiadała, jest rzeczywiście winną napaści.

— Ja nic od niej nie chcę, dostojna pani — terkotał swarliwy ptaszek — ja wiem, że jaskółce niezbyt lekko na świecie, a przytem to taka wielka dama, co rok jeździ za granicę, to i delikatna i nieprzyzwyczajona do roboty... ale niech się odemnie odcepi, niech sobie innego gniazda szuka.

— Jaskółko — rzekła Szkarłatka — rozkazuję ci zostawić w spokoju wróbla i o innem mieszkaniu pomyśleć; zawiniłaś, napastując go we własnym domu, i tylko ten raz ci to uchodzi bezkarnie.

Szlachetna ptaszyna podniosła się z godnością i rzekła:



— Nigdy w życiu nie nachodziłam cudzego mieszkania, wróbel jest kłamcą i rabusiem, wyrządził mi krzywdę i obalamucił cię, dostojna pani, swoją gminną gadaniną. Ustępuję, skoro rozkazujesz, ale nie ciesz się też, czelny napastniku, mam ja rodzinę i przyjaciół, którzy się za mną ująć potrafią.

To mówiąc, skłoniła się Szkarłatce i odfrunęła, wróbel roześmiał się i, powiedziawszy parę płaskich komplementów księżnie, odleciał także. Szkarłatka, zostawszy sama, zastanowiła się, czy słusznie osądziła sprawę. Kto mówił prawdę, wróbel czy jaskółka? Jak się przekonać? Ks. Fuksya, która przyjechała jaskółkami, musi bliżej znać ich charakter i wiedzieć, czy one naprawdę napastują cudze gniazda. Gdyby zasięgnąć jej rady... ale myśl wnet odrzuciła. Ks. Fuksya jeszcze mogła pomyśleć, że Szkarłatka nie umie sobie dać rady i żadnej sprawy rozstrząsać nie potrafi.

— Mniejsza o to — pomyślała wreszcie — już się stało, trzeba jednak pilnować, żeby ptaki jedne drugich nie krzywdziły.

W tej chwili dało się słyszeć głośne kukanie. Szkarłatka klasnęła w dłonie, wnet zjawiała się Przylaszczka:

— Zawołaj do mnie kukułki — rozkazała.

Po chwili wróciła Przylaszczka z drugim, popielatym ptakiem, który stanął zmieszany i zaniepokojony.

— Wiem — rzekła Szkarłatka ostro — że masz zwyczaj podkładania swoich jaj w cudze gniazda, i że inne ptaki na to narzekają. Nakazuję więc, abyś je zostawiła w spokoju, a własne gniazdo sobie usłała. Jeśli się dowiem, żeś przekroczyła mój zakaz, spotka cię surowa kara. Możesz odejść.

Szkarłatka zadowolona, że wczas pomyślała o spokoju ptaszków, zamyśliła wybrać się na powtórny przechadzkę, gdy przed namiotem spostrzegła coś małego, czarnego i uwitego w pajęczynę.

— Co to jest? — zawołała ze wstrętem.

— To poczwarka motyla, dostojna pani — objaśniła czerwona Firletka.

Ależ to szkaradne, a tu znowu pod tym liściem druga, Firletko, powiedz służbie, aby oczyściła ogród z tego brzydactwa.

W parę godzin nie było nigdzie ani jednej motylej poczwarki.

Tymczasem Szkarłatka rozmyślała, jakby się zabrać.

— Ciekawa jestem — mówiła sobie — czy Wieszcza Bzu ma dużo klejnotów, margrabina Zieleni musi to wiedzieć. Macierzanko, zawołaj margrabiny.

A gdy się ta zjawiała, Szkarłatka wyraziła jej życzenie obejrzenia klejnotów Wieszczy; życzenie to brzmiało jak rozkaz. Margrabina, niezadowolona odpowiedziała zimno, że klejnotów jest bardzo wiele, że skarbiec książęcy jest pod jej kluczem i znajduje się w wieżycze tureckiego bzu.

— Chcę go zwiedzić — rzekła Szkarłatka — proszę o klucz.

— Nie mam go przy sobie.

— To niech go pani przyniesie.

Szkarłatka zapomniała, że Wieszcza przemawiała

zawsze uprzejmie, natomiast pamiętała, że jest samowładną panią, co jej się niezmiennie podobało. Margrabina przyniosła klucz, nie tając swego oburzenia.

— Ten klucz zostanie u mnie — rozkazała księżna.

— Dotychczas skarb był pod moim nadzorem, i dostojna Wieszcza we wszystkim się na mnie spuszczała — odparła margrabina. — Jeśli wasza dostojność uważa jednak za właściwe sama się tem zająć, to składam klucz i odpowiedzialność w jej ręce. Skłoniwszy się, szybko odeszła.

— Aha, nie podobało jej się — rzekła Szkarłatka — ona by tu chciała być panią, ażeby ja jeszcze jej słuchała.

Skabioza wskazała jej drogę, i Szkarłatka pobiegła do wieżyczki ukrytej w wielkim klombie.

Klejnoty i skarby Wieszczy znajdowały się w kilku kufrach i szafach, ustawionych w niewielkiej i niezbyt jasnej komnatce. Szkarłatka, otworzywszy kufry, wpadła w zachwyt.

Były tam naszyjniki z brylantowych kropel rosy, korony złote z promieni słońca, naramienniki z małych gwiazdeczek, kołczyki z opali lodowych i mnóstwo innych klejnotów.

Aby było jaśniej, otworzyła małe okienko i cieszyła się widokiem skarbów. Wreszcie gdy się napatrzyła, pochowała wszystko pręciutko i zbiegła, zaryglowawszy drzwi, lecz zapomniała o okienku. Szkarłatka nie zeszła jeszcze ze schodów, kiedy z drzewa, stojącego nawprost wieżyczki, spuściła się otwartym okienkiem sroka i, porwawszy z niedomkniętej szafy błyszczący, śliczny naszyjnik, uniosła go aż na szczyt starej lipy.

(d. c. n.)

## ŁAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA.

od Lilli Wenedy dla szarego Wilczka.

Wzrost 1,70 m. Ciężar 65 kg. Kolor włosów ciemny. Kolor oczu niebieskie. Wzrost 1,70 m. Ciężar 65 kg. Kolor włosów ciemny. Kolor oczu niebieskie.

Zastąpić kropki literami, tak, aby litery oznaczone gwiazdkami, utworzyły imię i nazwisko znanej autorki i współpracowniczki „Wieczorów.”

Znaczenie wyrazów w kierunku pionowym: 1) Nazwa tańca. 2) Ptak drapieżny z rzędu śpiewających. 3) Miasto warowne w Bułgarii. 4) Kraj w półn. Afryce. 5) Przypływ Dunaju. 6) Miasto nad Nilem w Górnym Egipcie. 7) Ptak z rzędu brodzących. 8) Miejsce kuracyjne w Galicyi. 9) Moneta francuska. 10) Poeta włoski. 11) Miasto w gub. Wileńskiej. 12) Rzemieślnik. 13) Rzeka wpadająca do m. Baltyckiego. 14) Roślina z rodz. dyniowatych. 15) Miasto w gub. Siedleckiej.



## SZARADA.

Ułożyła Jodelka.

Druga z pierwszą, piękne drzewo,  
Miłe wielkiemu poecie;  
Trzecią woda, która płynie  
W kraju naszym, o tem wiecie,  
Gdy się czwartą w końcu doda,  
Ameryki drzewo będzie,  
Które znowu poznać można  
W różnych drogich meblach wszędzie.

## REBUSIK.

Ułożył Lucio K.

Bo	Bo	Bo	ja	i	cie	cha	ser	ser	ser
Bo	gu	Bo					ser	cu	ser
Bo	Bo	Bo	dzie				ser	ser	ser

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 21-go:

Zagadki: G a r n e k.

### Łamigłówki kropkowanej:

Najszlachetniejszy kamień  
Jest ten, który kraje  
Wszystkie inne a sam się  
Pokrajać nie daje.

Najszlachetniejsze serce  
Jest to, które właśnie  
Da się raczej skaleczyć,  
Niż samo zadraśnić.

### Łamigłówki sylabowej:

1) Krab. 2) Rossini. 3) Ocet. 4) Lew. 5) Jawa. 6) Alep.  
7) Negro. 8) Sad. 9) Ołów. 10) Bellini. 11) Indyę. 12)  
Edward. 13) Sen. 14) Kapsali. 15) Izer. 16) Izium.  
Król Jan Sobieski i Bitwa pod Wiedniem.

## Skrzynka do listów.

Nie wiedząc, jaką właściwie encyklopedyę *Edzio Ż.* z Rostowa nabyć pragnie, nie możemy napewno żadnej wskazać, jest bowiem, jak w każdym innym kierunku wiedzy i tu wydawnictw wiele. Tak więc „Naukowa i ilustrowana wielka encyklopedia” wychodzi obecnie zeszytami, których mamy już sto kilkadziesiąt, a każdy zeszyt kosztuje 60 kop. Jest też i druga, mniejsza, o której szczegółowa wzmianka umieszczona jest właśnie w dzisiejszym numerze *Wieczorów*. Jedna i druga bardzo być mogą pożyteczne; każda oczywiście w swoim rodzaju, stosownie do potrzeby

i celu, w jakim jest nabywana. Redakcja chętnie pośredniczy między swymi czytelnikami, a księgarniami, które żądane książki wysyłają. Może też *Edzio* częściej do nas pisywać zacznie; pisanie bowiem wielką wprawę w użyciu języka daje — a nam miło będzie korespondencyę tę utrzymać.

Łamigłówni układn *Cesi S.* odehraliśmy. Rozwiązania szarad i łamigłówek dobre.

Wojny Krzyżowe, o które *Regina S.* pyta, nie są powieścią, lecz treściwym opowiadaniem historycznym z powodu ośmsetletniej rocznicy od rozpoczęcia owej bohaterskiej epoki. Rozwiązanie arytmografu dobre.

Również dobre rozwiązania łamigłówek nadesłali: *Roman J. Z.*, *Mała blondynka*, *Poziomka*, *Krak*, *Władzio Ż.*, *Lilijka*, *Polna róża*, *Lilak*, *Stefan* i *Adaś K.*

Próbę kaligrafii *Olgierda Z.* odebraliśmy.

Rebusik *Lucia K.* dzisiaj podajemy, zrobiona pomyłka w arytmografie poprawioną zostanie.

Jakże dobrym jest tatuś *Galicyanki*, skoro czytuje z nią *Wieczory* i tłumaczy jej nieznanne nazwy i rzeczy — wielkie to szczęście mieć takiego tatusia! Rozwiązanie łamigłówni i przekład prozy jest dobry. Niechże *Galicyanka* nie poprzestanie teraz na tem i więcej ich nadsyła.

*Gwiazdce* z *Zacisza* i jej rodzeństwu przesyłam serdeczne pozdrowienia. Szkoda, że siostrzyczka nie napisała wcześniej próby kaligrafii, skoro teraz pisać jej nie może. Rozwiązania szarad i arytmografu oraz przekład prozy, są dobre. Jeżeli zamiana listów ze mną jest wam tak przyjemną, to piszcie proszę jaknajczęściej do przyjaznego wam ptaszka.

*Lilla Weneda* myli się bardzo, sądząc, że mi swemi liścikami dokuczyć może, przeciwnie, odczytuje je zawsze z wielką przyjemnością i nie z mniejszą odpowiadam na zadane w nich pytania. Zaciekawia cię mój wygląd. — Czy nie znasz jaskółek? Jestem do swoich siostrzyczek podobna, zresztą przyjaźń dla *Wieczorów*, która nas łączy, ułatwiłaby nam osobiste poznanie gdybyśmy się spotkały.

Obie panoramy, jakie obecnie posiada Warszawa, są bardzo zajmujące, oczywiście każda w swoim rodzaju. Nie lubisz, widzę, kochana *Lillo Wenedo* niepewności choćby na czas krótki — otóż mogę ci donieść, że łamigłówni twego układu, uznana za dobrą, drukowaną będzie. Życzony numer otrzymasz.

Masz słuszkę *Stokrotko*, że całe życie bawić się nie można; trzeba nam zawsze ochotnie podążać tam, gdzie nas obowiązek wzywa.

*Jaskółka.*

## NOWE WYDAWNICTWA ENCYKLOPEDI I ILUSTROWANEJ WIADOMOŚCI POŻYTECZNYCH.

W układzie popularnym z przeszło 2,500 ilustracji wydawanej nakładem *Michała Arcta* w Warszawie, wyszło już 18 zeszytów. Zawierają one wyrazy od A do litery M włącznie, oraz 1,470 rysunków objaśniających.

Cena zeszytu kop. 25, z przesyłką kop. 30,

Dzieło powyższe jest użyteczne dla wszystkich, potrzebujących zwiezłych i zrozumiałych informacji ze wszystkich realnych nauk i umiejętności. Dzieło to jest pierwszą u nas Encyklopedyą tak ilustrowaną i popularnie, zrozumiale, a jednak naukowo napisaną. Prenumeratę przyjmuje księgarnia wydawcy, *Nowy-Swiat* Nr. 53, oraz wszystkie inne księgarnie.

*Edmunda Jankowskiego*. „*Ogrody na piasku*”, z dziesięcioma planami ogrodów.

*Ks. Romualda Wojcika*. Pobożne czytanie o św. *Wojciechu*.